Integracja imigrantów działa, jak telefon – w obie strony. Polacy też muszą jej się uczyć

Helena Anna Jędrzejczak • Kultura Liberalna

Kim są dla nas migranci i migrantki? Zagrożeniem? Tanią siłą roboczą? Zabezpieczeniem emerytalnym? Szansą na zwiększenie różnorodności? A może po prostu ludźmi, których łatwo przeoczyć, gdy przesłaniają ich wielkie idee i tabele z danymi ekonomicznymi? Na kwestię migracji z różnych perspektyw spoglądają obywatele i obywatelki kraju przyjmującego, twórcy polityk publicznych i same osoby migrujące. Różne są także perspektywy etyczne, w ramach których rozpatrujemy to zagadnienie.

Szczucie na osoby migrujące – uchodźców, uchodźczynie czy osoby robiące to z powodów ekonomicznych – jest skutecznym paliwem wyborczym. W Polsce w 2015 roku wyniosło PiS do władzy, od paru lat pozwala rosnąć Konfederacji i jej odnogom, w Niemczech daje poparcie AfD, we Francji – Frontowi Narodowemu.

W każdym państwie Europy podsycanie niechęci wobec przybyszów jest znakomitą, choć nieetyczną, metodą pozyskiwania głosów. W Polsce sytuacja jest pod tym względem dla wielu zaskakująca. Partia, której lider wprawdzie wypowiadał się za kontrolą granicy białoruskiej, ale także za poszanowaniem praw migrantów i uchodźców i odnosił się pozytywnie (a może po prostu: normalnie) do Ukrainek i Ukraińców, po uzyskaniu władzy zmieniła poetykę. Podejmuje decyzje zdecydowanie nieprzyjazne wobec tych, którzy już tu są i tych, którzy chcieliby szukać u nas schronienia.

Rządowa Strategia Migracyjna i pogarda dla wartości

Strategia Migracyjna Polski, opublikowana w październiku 2024 pod znamiennym tytułem „Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo”, nie pozostawia wiele złudzeń co do orientacji ideowej i celów stawianych przez rząd. Na 36 luźno zapisanych stronach (w tym tytułowej i spisie treści) blisko dwie zajmuje krytyka (braku) działań rządu Zjednoczonej Prawicy.

Ani razu nie padają słowa takie jak „solidarność”, „etyka” czy „sprawiedliwość”, za to kwestii repatriacji i Polonii poświęcono ponad trzy strony. Dokument jest mocno zorientowany na tytułowe bezpieczeństwo, a jeśli miałabym szukać jakiejś myśli przewodniej, to jest to dobro rynku pracy i próby zaradzenia problemom z demografią.

Czyli: bardzo ekonomicznie, mało wrażliwie. I kompletnie w oderwaniu od zagadnień etycznych. Tak, jakby w ogóle w tym kontekście nie były istotne.

Z mojej perspektywy są kluczowe, bo to one „ustawiają” myślenie pod kątem szukania odpowiedzi na pytania: integrować czy dążyć do asymilacji? Kierować się współczuciem czy PKB? Pamiętać jeszcze w ogóle o solidarności, czy tylko drżeć o bezpieczeństwo?

W „Kulturze Liberalnej” zastanawialiśmy się nad polityką migracyjną rok temu. Dr Hanna Machińska, była zastępczyni Rzecznika Praw Obywatelskich, tłumaczyła wtedy, czemu służą polityki migracyjne państw. Wskazywała trudności, które występują przy integracji. W tym nieusuwalny konflikt między bezpieczeństwem a pełną otwartością.

Jednak przede wszystkim skupiała się na tym, że polska strategia, opublikowana wówczas przez rząd Donalda Tuska, łamie unijne standardy i międzynarodowe konwencje. Namawiała do refleksji nad Strategią Migracyjną pod kątem zgodności z zaleceniami Rady Europy, Wysokiego Komisarza do spraw Praw Człowieka czy Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Niestety, rządy rzadko słuchają ekspertek. Dlatego o „zawieszaniu” bądź wypowiadaniu konwencji i łamaniu praw człowieka w imię wolności sama pisałam w kwietniu. Na nic były apele szanowanych instytucji międzynarodowych – tytułowe bezpieczeństwo stanęło ponad wszelkimi ideami. A kampania przed wyborami prezydenckimi sprawiła, że na celowniku znalazła się grupa wcześniej traktowana jako uchodźcy i migranci lepszej kategorii niż przybysze z Afryki i Bliskiego Wschodu – czyli Ukraińcy i Ukrainki.

„Selektywność”, czyli o kategoryzowaniu migrantów i migrantek

Krótko po zaatakowaniu Ukrainy przez Rosję, uchodźców (w praktyce: głównie uchodźczynie) z Ukrainy Polki i Polacy przyjęli z otwartymi sercami. Bezprecedensowa otwartość dyktowana współczuciem, gotowość do użyczania własnych mieszkań, pomocy materialnej i przyznania przez państwo części praw przysługującym Polkom i Polakom, trwała dość długo.

Na pozytywny lub przyjaźnie neutralny stosunek wpływało nie tylko współczucie, ale i bliskość kulturowa i fizyczna. Słowiański wygląd i ubiór, chrześcijaństwo, możliwość porozumienia się polsko-ukraińsko-rosyjską mieszanką językową zmniejszały lub niwelowały bariery, które dotyczą osób migrujących z daleka, nie-białych.

Poczucie bliskości wzmacniała wspólnota doświadczeń zniewolenia przez Rosję, skutkująca silnie zakorzenioną niechęcią wobec tej ostatniej. A także to, że Ukrainki i Ukraińcy od dawna są obecni w Polsce i wykonują prace niskopłatne, wyczerpujące fizycznie i pozwalające nam na wygodniejsze życie.

Sielanka się jednak skończyła. Przyczyniło się do tego z jednej strony zmęczenie gośćmi, z drugiej – skutecznie prowadzona przez Kreml akcja dyskredytowania i skłócania Polaków i Ukraińców. Do zakończonej „sielanki” wrócę za chwilę.

Uchodźczynie i uchodźcy z Ukrainy cieszyli się znacznie lepszym statusem od przybyszów z innych części świata. Zarówno rząd Zjednoczonej Prawicy, jak „koalicji 15 października”, odnosił się do nich pozytywnie, podkreślając kwestie ludzkiej solidarności, ekonomicznych pożytków i bezpieczeństwa ich przyjmowania.

Na drugim biegunie była i jest narracja o przybyszach z Bliskiego Wschodu.

Zgodnie z nią są oni postrzegani jako potencjalni terroryści pragnący bezczelnie „żyć z socjalu” w Polsce lub mało taktownie potraktować nasz kraj jedynie jako drogę do znacznie lepszego socjalu niemieckiego. Nie chcę uprawiać pięknoduchostwa. Wiem, że ludzie umierający na granicy polsko-białoruskiej byli i są bezwzględnie wykorzystywani przez Putina i Łukaszenkę do destabilizowania Polski, a przyjmowanie ludzi bez dokumentów może być ryzykowne. Nie daje to jednak moralnej legitymacji do zawieszenia prawa do azylu, do stosowania pushbacków i zasady „zero śmierci na granicy” jedynie w odniesieniu do polskich funkcjonariuszy.

Dobry imigrant to pracujący imigrant

Drugim kryterium przyjmowania migrantów i migrantek, obok kulturowo-geograficznego, jest ich użyteczność dla gospodarki.

Pożądany imigrant to imigrant aktywny zawodowo, budujący PKB i wypełniający luki na rynku pracy. Nikogo więcej lepiej nie przyjmować – przekonują politycy wprost lub poprzez podejmowane decyzje.

Tę perspektywę do granic absurdu przyjęła Szwajcaria. W referendum w 2014 roku minimalną większością głosów (50,3 procent) przegłosowano regulację, zgodnie z którą corocznie ustalane są limity dla wszystkich zezwoleń na pobyt – zarówno w ramach azylu, jak i przyjmowania wysokiej klasy specjalistów. Limity te są bardzo niskie. W 2025 w tym 8-milionowym kraju zezwolenia na pracę mogło uzyskać 8500 osób spoza UE, po 3500 osób z UE/EFTA i Wielkiej Brytanii. Wprowadzenie tych regulacji wywołało efekt mrożący: w 2024 pracownicy z UE i UK wykorzystali je w odpowiednio 40 i 36 procent, a ci spoza UE/EFTA – w 63 procent. Niemal w pełni (94 procent z 2257 osób) swój limit wykorzystali jedynie Chorwaci. Dodatkowo w Szwajcarii mogą się osiedlić rodziny pracowników, oczywiście w okresie zatrudnienia, i studenci, o ile mają ubezpieczenie i środki do życia.

Polska (na razie?) nie ma takich pomysłów. Nie limitujemy i nie planujemy limitować liczby osób, które osiedlą się w Polsce i/lub otrzymają zezwolenie na pracę. Obywatele i obywatelki Ukrainy nie potrzebują nawet tego ostatniego, wystarczy powiadomienie o ich zatrudnieniu.

Jednakże zarówno w narracji rządu, jak i części mediów, to właśnie gospodarka wybija się na pierwszy plan w odniesieniu do migrantek i migrantów. Siłą rzeczy dotyczy to głównie Ukrainek i Ukraińców. Donald Tusk, ulegając antyukraińskim nastrojom, zapowiedział odebranie 800+ ukraińskim dzieciom, których rodzice nie pracują. Zapewne chciał schlebić tym, którzy twierdzą, że Ukraińcy odbierają Polakom pracę, żyją z polskiego socjalu i ogólnie rzecz biorąc – pasożytują na naszej mlekiem i miodem płynącej ojczyźnie.

Tymczasem nie dość, że w 2024 wypracowali 2,7 procent PKB, a w 2023 wpłacili do polskiego budżetu 14,7–19,9 miliardów złotych (jednocześnie otrzymując w ramach świadczeń około 5 miliardów złotych), to poprawili jakość polskiego rynku pracy. W raporcie przygotowanym przez Deloitte dla Urzędu Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców wskazano, że „wejście ukraińskich uchodźców na polski rynek pracy nie wpłynęło negatywnie

na gospodarkę, choćby poprzez na przykład wzrost bezrobocia lub spadek realnych płac; wręcz przeciwnie, przyczyniło się nie tylko do wzrostu zatrudnienia wśród Polaków, ale także do poprawy produktywności polskich firm i pracowników” [1].

Ważną informacją jest także to, że 80 procent dochodów ukraińskich gospodarstw domowych w Polsce pochodzi z pracy zarobkowej. Być może ten odsetek byłby jeszcze wyższy, gdyby nie niskie zarobki.

Praca poniżej kwalifikacji

Przygnębiający w tym kontekście jest fakt, że osoby migrujące do Polski pracują znacznie poniżej kwalifikacji. Mówi o tym raport Fundacji „Ocalenie” [2] i wspomniany raport Deloitte. „Ocalenie” podaje dane GUS: w lutym 2025 w Polsce pracowało 1 057 400 osób cudzoziemskich. Wśród nich najliczniejszą grupę „stanowili obywatele i obywatelki Ukrainy (67 procent ogółu pracujących cudzoziemców), Białorusi (11 procent), Gruzji (2,3 procent), Indii (2 procent), Kolumbii (1,5 procent) i Filipin (1,4 procent)”. Większość z nich wykonuje prace proste (40 procent), robotniczo-rzemieślnicze (20 procent) lub jest operatorami i monterami maszyn (15 procent). Specjaliści to jedynie 2,5 procent zatrudnionych cudzoziemców.

Jednocześnie w badaniu fundacji 67 procent badanych posiadało wyższe wykształcenie, a kolejne 28 procent – średnie lub policealne. Przed przyjazdem do Polski 82,2 procent lubiło swoją pracę, 72,6 procent pracowało zgodnie z kwalifikacjami, a 67,2 procent – zgodnie z wykształceniem.

Po przyjeździe do Polski wszystko się zmieniło. Zgodnie z kwalifikacjami pracuje 33,8 procent badanych, zgodnie z wykształceniem – 26,5 procent. Trudno się dziwić, że swoją pracę lubi tylko 48,5 procent z nich.

Zgodnie z cytowanymi przez „Ocalenie” danymi Eurostatu w Polsce poniżej kwalifikacji pracuje 50 procent imigrantek i imigrantów; to więcej o 10 punktów procentowych niż średnio w UE. Nawet te 40 procent unijnej średniej to dużo; polskie 50 procent – bardzo dużo. W perspektywie ekonomicznej: marnujemy potencjał.

W perspektywie międzyludzkiej: nie traktujemy ludzi z należytym szacunkiem. W perspektywie etycznej: przedkładamy krótkoterminowe korzyści dla rynku pracy ponad wyższe wartości takie jak solidarność, współczucie, równość.

Integracja, asymilacja i inne trudne słowa

W relacji państwa przyjmującego z migrantami i migrantkami można przyjąć trzy główne perspektywy: dążenia do asymilacji przybyszów, ich integracji bądź tego, by nie zabawili zbyt długo i żyli obok.

Pierwsze podejście zakłada, że nowi mieszkańcy zupełnie wtopią się w swoje nowe otoczenie lub kulturę dominującą, porzucą język, tożsamość, a nawet religię. Znamy to z dwudziestolecia międzywojennego. Choć Rzeczpospolita teoretycznie była wielokulturowa i wielonarodowa, bez biegłego posługiwania się językiem polskim i bycia chrześcijaninem tradycji zachodniej trudno było być członkiem szeroko pojętej elity, a częściowo także wykonywać zawody zaufania społecznego.

Współcześnie integracja wydawała się podejściem niekwestionowalnym. Tłumaczyła to profesor Aleksandra Grzymała-Kazłowska w październikowej z rozmowie z Idą Zając w „Kulturze Liberalnej”: „Integrację do niedawna praktykowała Europa, zwłaszcza zachodnia poprzez „włączanie ich [cudzoziemców] do lokalnych społeczności poprzez rozwiązania prawne i różne praktyki, jednak przy poszanowaniu ich odmienności kulturowej”.

Nie jest to proste, bo wymaga wysiłku i otwartości nie tylko od przybyszów, lecz także, a może zwłaszcza, od społeczeństwa przyjmującego. Bez tego integracja nie jest możliwa, bo polega ona na budowaniu relacji.

Łatwo jest krytykować za brak pełnej otwartości. O ile nikt chyba nie oczekuje, że przybysze dokonają konwersji z prawosławia lub grekokatolicyzmu na rzymski katolicyzm (zapewne z powodu postępującej sekularyzacji), o tyle zrozumiałe jest dla mnie społeczne oczekiwanie zachowywania norm kulturowych.

Mam tu na myśli przede wszystkim kwestię szacunku dla prawa i przestrzegania go. Przez ostatnie trzy dekady walczyliśmy zawzięcie z *Homo sovieticusem*. Dzięki przygotowaniom do akcesji do Unii Europejskiej udało nam się niemal zlikwidować codzienną korupcję. „Załatwianie”, przynoszenie do urzędu podarków, żeby po prostu zrealizować swoje obywatelskie prawa, czy drobne kradzieże, takie jak wynoszenie z biura papieru do drukarki. Nie jest doskonale, ale zmiana jest ogromna. Uważam, że mamy prawo wymagać dostosowania się do tych reguł, oczywiście dalej pracując nad tym, by Polki i Polacy także to robili.

Szacunek dla prawa i obyczajów ma także drugą stronę: tylko świecąc przykładem, będziemy w tym wiarygodni i będziemy mieli szansę przekonać przybyszów, że praworządność jest w Polsce wartością autoteliczną.

Co mam na myśli? Przede wszystkim przestrzeganie wobec nich prawa pracy. To nadal polska ogromna bolączka.

Politycy mający na sztandarach katolicką naukę społeczną znają chyba tylko jej część, dotyczącą seksualności. Tę dotyczącą godności pracy pominęli w lekturze.

A przecież w jej myśl gospodarka ma służyć ludziom, a nie oni gospodarce, zaś społeczeństwo powinno dążyć do sprawiedliwości ekonomicznej. Wykorzystywanie słabej pozycji imigranta jest z KNS po prostu sprzeczne.

Konstytucja Rzeczypospolitej także nie pozostawia w tej mierze wątpliwości. Naszym ustrojem gospodarczym jest społeczna gospodarka rynkowa. Nie dziki kapitalizm czy neoliberalizm spod znaku Leszka Balcerowicza. Nasza umocowana konstytucyjnie społeczna gospodarka rynkowa opiera się na „wolności działalności gospodarczej, własności prywatnej oraz solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych”. Dodatkowo „praca znajduje się pod ochroną Rzeczypospolitej Polskiej”. To nie wszystko: wszak Konstytucja podkreśla przyrodzoną i niezbywalną godność każdego człowieka, jego wolność i równość wobec prawa. Wyzysk osób znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej, praca bez umowy czy poniżanie pracowniczek i pracowników jest więc sprzeczne z Konstytucją. Warto o tym przypominać piewcom „świętego

prawa własności” i pełnej wolności, którą mylą z nadanym sobie prawem do krzywdzenia słabszych.

Język i tożsamość

Drugim ważnym elementem integracji jest język. Tu świat nie pozostawia złudzeń: żeby funkcjonować w danym społeczeństwie, trzeba nauczyć się jego języka.

To podstawowy wniosek z badania ukraińskich migrantek zrealizowanego przez badaczki z Instytutu Badań Edukacyjnych. W publikacji pod redakcją Karoliny Messyasz i Marty Petelewicz piszą: „Umiejętność posługiwania się językiem kraju przyjmującego jest jednym z kluczowych czynników ułatwiających proces adaptacji i integracji osób z doświadczeniem migracji”. Oraz: „Nabywanie umiejętności językowych jest szczególnie ważne dla sytuacji zawodowej, ułatwia uzyskanie samodzielności, wspiera poczucie bezpieczeństwa, a także przynosi satysfakcję z możliwości porozumiewania się z Polakami” [3]. Bez „integracji językowej” nie da się nie tylko zbudować swojego kapitału społecznego, lecz także poczuć pewnie i „u siebie”, dzięki nawiązanym relacjom.

Nauka języka polskiego nie może oczywiście oznaczać wynaradawiania.

Uważam, że ukraińskie dzieci powinny mieć możliwość uczenia się języka ukraińskiego w polskich szkołach, tak jak w części niemieckich landów polskie dzieci na koszt państwa uczą się polskiego.

W Polsce ukraińskiego można się uczyć jako drugiego języka obcego, nie w ramach rozwijania ukraińskiej tożsamości narodowej. Moim zdaniem moglibyśmy jako państwo bardziej się w tej kwestii postarać. Czy w ramach kampanii wyborczych będzie to krytykowane? Oczywiście. Czy to zwalnia ze wspierania obywateli i obywatelek zaatakowanego państwa? Oczywiście nie.

Drugim ważnym – i o wiele trudniejszym – tematem jest tożsamość i historia.

W przypadku relacji polsko-ukraińskich historia przez wieki wspólna, bolesna, oparta była najpierw na wyzysku i dyskryminacji. Później na wycofaniu polskiego wsparcia dla walczącej z ZSRR o niepodległość Ukrainy, zwieńczonym słynnymi słowami Piłsudskiego do internowanego w Kaliszu Petlury („Ja was przepraszam, panowie. Ja was bardzo przepraszam. Tak nie miało być”). Jest obarczona rzezią wołyńską.

Rachunek wzajemnych żalów i krzywd jest długi. Żądanie, by wykrwawiająca się Ukraina przepraszała Polskę za tylko jeden z jego elementów, z pominięciem polskich win, jest moralnie naganne. Nic tego nie usprawiedliwia. Tu potrzebna jest wyciągnięta dłoń, „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, a nie oczekiwanie, że Ukraina i jej obywatele mieszkający w Polsce będą przepraszać pierwsi i wyrzekać się jednego ze swoich bohaterów narodowych – Stepana Bandery. Takie żądania nie są żadną formą integracji, tylko próbą poniżenia słabszego.

Kto ma się tym zająć?

Zapewne każdy i każda z nas chciałaby, żeby w Polsce żyło się po prostu dobrze. Ponieważ leży ona w tym, a nie innym miejscu na mapie świata i Europy, nie będzie – tak jak przez ostatnie 80 lat – państwem niemal mononarodowym. Od dobrej integracji z migrantami i migrantkami zależy, czy relacje będą układały się harmonijnie i czy obydwie grupy będą na niej korzystały. Po polskiej stronie widzę czterech aktorów, którzy odgrywają kluczowe role.

Pierwszym jest państwo. To ono musi tworzyć odpowiednie regulacje.

Zeszłoroczna strategia jest wysoce niewystarczająca, zarówno ze względu na koncentrację na bezpieczeństwie, jak i kompletnym pominięciu sfery wartości.

Dobrze, że zaczęto coś robić, ale rządzący muszą się zastanowić, czy naprawdę zbudują dobrze funkcjonujące społeczeństwo, jeśli jego nowych członków będą traktować albo jako zagrożenie, albo jako tanią siłę roboczą.

Dobrze, że jeszcze nie rozmontowano Centrów Integracji Cudzoziemców i odpowiedzialnego za nie departamentu w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Trzeba jednak zatrzymać przekształcanie ich w Centra Kultury Polskiej, bo przecież nie chodzi o to, by cudzoziemcy stali się Polakami, tylko by się zintegrowali. I by nie czuli się ludźmi drugiej kategorii.

Drugim aktorem są samorządy. To tu ma szansę urzeczywistnić się polityka tworzona na szczeblu krajowym. To polskie miasta, powiaty i województwa, dzięki podejmowanym decyzjom i działaniom, pomogą zintegrować się na szczeblu lokalnym lub dopuszczą do tworzenia się gett na wzór francuski.

Według profesor Grzymały-Kazłowskiej ryzyko nie jest duże, ale warto zawczasu tworzyć polityki przeciwdziałania takim zjawiskom. Możliwości są ograniczone przez bardzo mały zasób mieszkań komunalnych. Samorządy nie są w stanie prowadzić skutecznej polityki lokalowej, ani w odniesieniu do obywateli i obywatelek polskich, ani do migrantek i migrantów. Mają jednak inne możliwości, zwłaszcza związane ze szkolnictwem i wspieraniem organizacji pozarządowych.

NGO-sy to trzeci aktor, dotychczas kluczowy. Wzięły na siebie współprowadzenie Centrów Integracji Cudzoziemców, często pełniąc rolę ekspercką, bo to ich członkowie i członkinie mają doświadczenie pracy z migrantami i migrantkami. Prowadzą badania, dzięki którym mamy wiedzę na temat ich sytuacji, potrzeb i planów. Jeśli trzeba – alarmują, starają się wpływać na prawodawstwo i służyć państwu posiadaną wiedzą. Społeczeństwo obywatelskie to „stowarzyszenie stowarzyszeń”. Bez organizacji ludzi – obywatelek i obywateli, którym na czymś zależy – nie funkcjonuje. Ich głos mógłby być jednak częściej wysłuchiwany. A tanie polityczne chwyty, bazujące na uprzedzeniach i zimnej kalkulacji politycznej, mogłyby być zastąpione właśnie ekspertyzą i wrażliwością NGO-sów.

Jest też czwarty aktor: każdy i każda z nas, obywatele i obywatelki Rzeczpospolitej. Wspomniałam już o tym w części dotyczącej szacunku dla prawa. W tej kwestii musimy świecić przykładem.

Jeśli oczekujemy, że przybysze zintegrują się z nami kulturowo, to chyba chcemy, żeby integrowali się z tym, co prawnie i moralnie właściwe, a nie z polskimi patologiami, prawda?

Przestrzeganie prawa jednak nie wystarczy. Integracja zakłada wolę współpracy po obydwu stronach. Za integrację odpowiada każdy i każdy z nas. To nie jest łatwa droga. W kryzysowych sytuacjach nawet niewielkie odmienności potrafią urastać do wielkich problemów. Dlatego musimy jako społeczeństwo i jako pojedynczy ludzie wzmacniać w sobie odporność.

Zacząć od walki z dezinformacją: sprawdzać prawdziwość antyukraińskich komunikatów. Nie ulegać kremlowskiej propagandzie. Nie powtarzać niesprawdzonych informacji i krytycznie podchodzić do antymigranckich propozycji politycznych. Starać się budować w sobie cierpliwość i wyrozumiałość. Pamiętać, że o ile nasz polski lęk przed tym, by nie dać się wymazać z mapy, jak pisze Jarosław Kuisz, jest zrozumiały historycznie, ale dzięki członkostwu w NATO chyba na razie daleki od stania się rzeczywistością, to Ukrainki i Ukraińcy zarówno dzielnie walczą w okopach, jak i budują polskie PKB, które możemy wydawać na zbrojenia.

No i oczywiście pamiętać, że niezależnie od rasy, koloru skóry, języka, wyznania, czczonych bohaterów narodowych i przekonań, migranci i migrantki są przede wszystkim ludźmi. Nie historią, nie przedstawicielami narodu i nie tą lub inną ideologią. Ludźmi.

Przypisy:

[1] „Analiza wpływu uchodźców z Ukrainy na gospodarkę Polski”, Deloitte, Warszawa 2024.
[2] M. Jeżowski, J. Şimşek, K. Stankiewicz, „Niewykorzystany potencjał. Praca poniżej kompetencji osób cudzoziemskich spoza Unii Europejskiej”, Fundacja „Ocalenie”, Warszawa 2025.
[3] K. Messyasz, M. Petelewicz [red.], „«Żeby poradzić sobie» – uczenie się języka polskiego przez migrantki i migrantów przymusowych z Ukrainy”, Instytut Badań Edukacyjnych, Warszawa 2024.

Tekst powstał w ramach projektu Spięcie – współpracy redakcji „Nowa Konfederacja”, Klub Jagielloński, „Kontakt”, „Krytyka Polityczna” i „Kultura Liberalna”.

Wyłączna odpowiedzialność za wyrażone opinie spoczywa na autorze i Komisja Europejska oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji nie ponoszą odpowiedzialności za sposób wykorzystania udostępnionych informacji